

Ula Chylaszek

Morze daleko

Miała być jak u wikingów; drewniana, z żaglem i tarczami przy burcie. Tak reklamował ją burmistrz na swoim fanpage'u. Tymczasem jest aluminiowa, żółto-niebieska, a z wikingami łączy ją tylko morze. Łódź sondażowa Ł-3, służąca kiedyś do badania dna Bałtyku, stanęła nad zalewem łosickim jesienią zeszłego roku i od tamtej pory budzi emocje. Wszystkie.

* * *

– Przed wojną w Łosicach była Liga Morska – zamysła się Marek Jerzman. – To było wtedy dość powszechne, nawet w miastach oddalonych od morza. Popularyzowała morską tematykę i osiągnięcia naszej gospodarki. Ładniej by tu wyglądał jakiś biały jacht, na przykład Omega, no ale niestety. Gdyby ta łódź zaczęła pływać po jeziorku to by dopiero zachęciło

łosiczan, a tak, stoi na brzegu. Ale, jakby ktoś mnie zapytał, tobym powiedział, że jestem za. Ten zalew był zaniedbany, obecny burmistrz przywrócił go do życia. Powstał chodnik, jest plaża z kajakami, no i ta łódź... Kwiatek do kozucha, ale fajnie, że zalew żyje.

Dla jednych spokojny nauczyciel historii w gimnazjum, dla drugich zaangażowany filmowiec, dla trzecich wścibski dziennikarz szukający guza. Marek Jerzman jest każdym po trochu.

– No, pobiłem burmistrza Łosic. To fakt. Akurat ja jestem taki nieduży, średniej budowy. A burmistrz był półto-rej głowy wyższy i miał posturę zawodnika sumo. I ja się na niego rzuciłem i go pobiłem, proszę sobie wyobrazić.

Policjanci nie kryli zdziwienia, kiedy spisywali zeznanie. Wersja burmistrza budziła wątpliwości, tym bardziej, że Marek Jerzman już wtedy nie miał lewej ręki i był szczuplejszy niż dziś. Pisał o przekrętach władzy. To nie mogło się podobać ówczesnemu włodarzowi. Sprawę umorzono; słowo jednego przeciwko słowu drugiego. Świadców brak.

– Podejmowałem wtedy tematykę samorządową. Teraz piszę głównie reportaże historyczne, a Łosice to ciekawe pole do działania, pogranicze. Przed wojną to było de facto żydowskie miasteczko. Zagłada objęła prawie wszystkich, a ci, którzy przeżyli, niebawem wyjechali.

Wytrwałość Marka Jerzmana przyczyniła się w 2008 roku do rededykacji (odnowy duchowej)

łosickiego kirkutu oraz powstania filmu „Stella”, do którego napisał scenariusz. Stella Zylbersztajn była ukrywana w czasie II wojny światowej przez wiele okolicznych rodzin. Uparcie walczyła o uhonorowanie ich tytułem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Ostatecznie odznaczono tylko 23 z ponad 60 osób. To i tak dużo, według Instytutu Yad Vashem, który nie dowierzał, że aż tylu ludzi przyczyniło się do uratowania jednej kobiety.

– Proszę sobie wyobrazić, że w tym biednym, przedwojennym miasteczku, w 1938 roku wybudowano baseny miejskie, jeden dla chrześcijan, drugi dla Żydów, trzeci dla dzieci, nie wiadomo których. Do końca lat siedemdziesiątych rodziny tam latem biwakowały, ale potem obiektów nie remontowano i popadły w ruinę.

A szkoda, bo dziś wielu mieszkańcom brakuje w mieście właśnie basenu.

Marek Jerzman nie afiszuje się z poglądami, ale też ich nie ukrywa. – Ostatnio dowiedziałem się od swojej dy-rekcji, że nie warto poświęcać godzin lekcyjnych na wyjazd z młodzieżą na film „Historia Roja” do Siedlec. Że szkoda na to czasu, bo cały dzień nauki przepadnie. Po paru miesiącach udało się ściągnąć film do Łosic. Ale ja jestem historykiem, do feudalizmu podchodzę pozytywnie. Całkowicie się zgadzam, że należy szanować zwierzchnika swojego, zawsze można mieć gorszego.

To, że nie warto oglądać Roja w kinie, nie było jedyną rzeczą, jakiej Marek Jerzman się ostatnio dowiedział.

– Ja ciągle nowych rzeczy się dowiaduję. Wczoraj, na przykład, tego, że moją pasją jest smażenie dżemu. Wcześniej robiłem to dorywczo, więc ten dżem mi umykał. Będzie agrestowy, najlepszy na świecie! Tu obok mam trzy krzaczki, zagoniłem ten drobiazg – wskazuje na dzieci – Julkę, Kubę i Oliwkę, dałem rozkaz wymarszu: „rwać dżem”. No i rwaliśmy, do końca. Piękna sprawa.

Szczerze podziwiam dom państwa Jerzmanów; jasne ściany, drewniane podłogi, brak zbędnych dekoracji.

– A pani gdzie się zatrzymała?

* * *

Schronisko młodzieżowe w Łosicach jest młodzieżowe tylko z nazwy. To tymczasowy dom dla robotników z okolic Łosic oraz z Ukrainy. I dla mnie.

Pieczarki będą dziś na maśle. Roma i Andriej mają go pod dostatkiem, bo pracują w mleczarni za rogiem. Nic się nie zmarnuje. Andriej, oprócz pieczarek na maśle potrafi też spawać i zrobić tort. Ale nie potrafi wymówić po polsku „trzynaście”. Jak by nie kombinował, wychodzi mu „czternaście”. Dziś jego

urodziny, więc przyszedł też Bociiek. Jest Polakiem, mieszka w bloku obok, ale często wpada na wódkę. Andriej pełni rolę gospodarza i polewa.

– W Łosicach podoba mi się praca i dziewczyny. Bociiek, pijesz?

– Nie, ja już nie.

– Na pewno?

– A chuj tam, lej!

Piją dużo, zazwyczaj bez okazji. Nie codziennie, ale na tyle konkretnie, że Roma nie może usiąść za kierownicą o żadnej porze dnia i nocy.

– Mogę jechać z tobą jutro do Grabarki? – wprasza się do mojego auta. – Jak tu spędzę kolejny cały dzień to się powieszę – tego ostatniego słowa nie mówi, bardziej pokazuje znaczącym gestem. – Nie ma tu co robić. Nawet na ryby nie mogę iść. Chciałem, ale muszę mieć jakąś legitymację. Mówię, że zapłacę, a oni, że nie da się tak, trzeba mieć kartę.

Na szczęście Roma nie powiesił się. Poszedł spać. Niedziele są najgorsze, bo wdziera się nuda, jak stąd na Ukrainę. Żona daleko, kajakiem by popływał, ale nie ma z kim. Ryb też nie połowi. Mógłby, ale jednodniowe pozwolenie można załatwić tylko przez internet, a tego w schronisku brak. Niewirtualnie mógłby kupić w sklepie wędkarskim kartę na rok, taka się opłaca najbardziej. Ale nie jemu. Za rok już go tu dawno nie będzie, przebywa w Polsce na sześciomiesięcznej

wizie. Jeżeli podczas tego pobytu będzie zameldowany nieprzerwanie przez 90 dni, pracodawca może mu załatwić zezwolenie na pracę na rok, później na trzy, pięć, a nawet dziesięć lat. Bo to pracodawca jest kluczem do szczęścia. To on wystawia zaproszenia, to on może je potem ponowić. Albo i nie. Bez jego ingerencji Roma i Andriej mogliby przyjechać do Łosic tylko po to, żeby podziwiać łódź, która swoimi barwami, niechcący, przypominałaby im o domu.

– Łódź jak łódź. No stoi. Lepiej by było gdyby pływała po wodzie, to by większa atrakcja była. Co mi po takiej, kiedy jest na brzegu? – Roma nie widzi sensu w bezużytecznych ozdobach. Być może to zbieg okoliczności, a być może ukraińska praktyczność, ale Ganna podziela jego zdanie. Mieszka w Łosicach już od sześciu lat, na Ukrainę wraca tylko latem.

– Łódka mi się nie podoba. To takie nienaturalne, że ona stoi na brzegu zamiast pływać.

Według luźnych szacunków Ukraińców jest w Łosicach pół tysiąca. Większość pracuje w pieczarkach, bo Łosice to królestwo białych kapeluszy. Na tym terenie działa największy ich producent w Europie. U niego zawsze po-trzeba rąk do pracy. Na przykład rąk Ganny.

Podobno źle zbierała pieczarki. Jak już źle zebrała, to je potem źle ważyła. O wszystko się czepiał. – Ty jesteś taki wredny, że nigdy nie znajdziesz żony

– powiedziała kiedyś swojemu kierownikowi Ganna, po czym pozwo–liła się podwieźć na dyskotekę, a rok później wzięła z nim ślub i urodziła dwójkę dzieci. Dla niego przeszła na katolicyzm.

– To wszystko jeden i ten sam bóg. Chodzę do kościoła i do cerkwi. Dla mnie bez różnicy.

Pochodzi spod Kołomyi na Ukrainie i pewnie już tu zostanie, ale polskiego obywatelstwa nie chce, bo musiałaby się zrzec swojego. Zaczynała od pieczarek, ale teraz marzy o własnym lokalu gastronomicznym, bo uwielbia gotować. O tym, że w Łosicach nie da się niczego ukryć przekonała się w tym roku. Kiedy jej mąż nie dostał urlopu i pojechała na Ukrainę sama, plotki rozmnożyły się jak wirus.

– Dowiedziałam się, że mnie wygonił z domu, i że miał tutaj liczne romanse.

– No przecież mnie znasz, widzisz jaki ze mnie barbarz – dopowiada Marcin patrząc na żonę i widać, że w tym tandemie to Ganna była zdobywcą.

– Brakuje mi tu atrakcji dla młodych: basenu, dyskoteki. W sezonie są jakieś imprezy na molo, ale to tylko latem. A dzisiaj są tańce z okazji Dni Łosic, idziesz? Z Ukrainy do Polski przeniosłabym spontaniczność; u nas jak ktoś rozpala grilla, to się do niego po prostu przychodzi bez pytania. Tutaj się trzeba ze wszystkimi umawiać. My na Ukrainie nie potrzebujemy zaproszeń. To naturalne, że się stale odwiedzamy.

Coś w tym jest. Do Ganny można wpaść o każdej porze, nie sprawia wrażenia, jakby to był dla niej kłopot.

Ona zadomowiła się już po tej stronie Bugu, ale znaczna część jej rodaków jest tu tylko na chwilę, jak Roma i Andriej. Dla nich liczy się jedynie praca. Po to tu przyjechali, pracują więc sześć dni w tygodniu, a niedzielami tęsknią do swoich żon i dzieci. Kiedy niespodziewanie wolne wypada również w sobotę, są wkurzeni, bo nie zarobią.

– W domu będę odpoczywał. Teraz najważniejsza jest praca. – Andriej zastanawia się, co zrobić z nadprogramowym dniem wolnym.

* * *

– Nie można tylko pracą żyć, trzeba mieć jakieś pasje – Waldemar Kosieradzki swoimi mógłby obdzielić kilka osób. Jest zbieractwo, historia, zegary. No i konie, od których, jak twierdzi, wszystko się zaczęło. Do jego muzeum nie trafi się z ulicy, ot tak. Trzeba przez znajomości. Nie ma żadnego szyldu ani drogowskazu, tylko reklama materiałów budowlanych. Tymczasem na poddaszu właściciela firmy Koradex czas się zatrzymał; na chwilę w średniowieczu, na chwilę w XVI w., najdłużej przy II wojnie światowej. Czas odmierzają zegary gromadzone tu wraz z pozostałymi przedmiotami od czterdziestu lat.

– 1500 eksponatów to już jest duże muzeum, a ja mam 2200 i jeszcze 500 nieskatalogowanych w kufrach leży.

Można by je rozłożyć na polu o powierzchni 10 arów, tymczasem zajmują 130 m² strychu.

Prywatne Muzeum Historii i Tradycji istnieje od trzech lat. Nie zanoszą się na oficjalne otwarcie, bo to dużo pa-pierkowej roboty i dodatkowe koszty. Ale i tak co roku przychodzi tu około tysiąca osób, głównie szkolne wycieczki.

– O, tutaj mam monetę Hadriana z 71 r. n.e., a tu herb Łosic z 1582 r. z koniem, bo nazwa miasta jest od słowa loszadz (po rosyjsku: koń). Buty, to jeszcze pani nie widziała takich butów pewnie, z obozu w Majdanku. Parę zegarów, bo ja mam zawód zegarmistrza. Najbardziej cenne są te rękopisy sprzed kilkuset lat, np. podejrzenia o czary; skarga do władz, że dwie biało-głowy w nocy biegają, palą ogniska i przez to krowy mniej mleka dają.

Dzwoni telefon.

– Ty, słuchajno, on mówi, że ten zza Buga dzwonił, że nie wjedzie się tam. Nalane i buty grzęzną. To nic, potem pojedziesz, na razie siedzieć, co tam. No deszczu nalało, zdejmiesz ten owies. Bo ja tu w muzeum jestem, pani nagrywa. To na razie... Ja przyciszę ten telefon, bo inaczej będzie nam przerywał.

– Jeżeli to ważne, proszę nie wyciszać tylko odbierać.

– Nie, to nie takie ważne, ja tu kieruję firmą, to nie muszę pracować – żartuje. – Wie pani, moja pasja z tym wszystkim to się zaczęła kiedy miałem dzie więć lat, kiedy ojciec mi kupił konia do jazdy. Ja pochodzę spod Sokołowa, nagrywa pani?

– Tak.

– Dobrze. Ja pochodzę spod Sokołowa Podlaskiego, od Łosic 30 km. Po tych lasach mogłem sobie cały czas koniem jeździć, a u nas na Podlasiu to naród patriotyczny...

Waldemar Kosieradzki przejechał koniem patriotyczną okolicę, wzdłuż i wszerz. Historii uczył się od ludzi i z książek. Kiedy dowiedział się o partyzantach, którzy działali tu w czasie II wojny światowej, już nie było odwro-tu. Połknął bakcyła. – Bo wie pani, że jestem twórcą tego filmu o oddziale „Zenona”? O, tu Krzyż Kawalerski, w zeszłym roku od prezydenta Dudy dostałem, za zasługi.

Waldemar Kosieradzki współtworzył film pt. „Szlakiem bojowym Oddziału Partyzanckiego »Zenona«”, który opowiada historię oddziału 34. Pułku Piechoty 9 Podlaskiej Dywizji AK. Do dziś urządza coroczne obchody walk w Jeziorach – największej wygranej „Zenona” – organizuje huczne dożynki, odnawia stare kapliczki i marzy o kuźni w swoim muzeum. Konno pewnie nigdy nie przestanie jeździć, a Łosice kocha bezgranicznie.

– Ja tutaj żadnej przykrości nie miałem. Może tylko tyle, że ludzie u nas, to wie pani, zazdroszcza,

ale nikogo nie oszukałem, uczciwy byłem. Ja to mówię: w młodości przyjechałem, na zawsze zostałem. My sobie żyjemy tutaj jak w raju. Mamy tu jezioro, a taki akcent, łódź, wie pani, morze daleko... Burmistrz miał taką wizję, trzeba zaakceptować. Mnie na przykład się podoba. A ta wikingów, drewniana, pobyłaby dziesięć lat, a później, jak z tą kapliczką, trzeba będzie zrobić dach. Ta będzie trwała. Jest kotwica, no, fajnie to wygląda.

* * *

– Tak szczerze, to mi się ta łódka nie podoba, no ale ja nie głosowałam. Mieszkańcy wybierali. Miała być drewniana, żeby dzieci się mogły bawić, a jeszcze tak postawili, że zasłania cały zalew. Mogli gdzieś w kącie bardziej dać, ale jednemu się podoba Kaśka, a drugiemu Maryśka. Ja tam o gustach nie dyskutuję. Magdalena Biernacka nie lubi „dupolizów” i panicznie boi się burzy. Na co dzień prowadzi z mężem firmę transportową, gdzie zajmuje się księgowością. Poza tym przewodzi Stowarzyszeniu Lokalnych Aktywistów „B”, które, jak sama nazwa wskazuje, aktywizuje okolicę i sprawia, że ludziom zaczyna się chcieć.

– Podstawą jest, żeby się chciało. Przez wiele lat mieliśmy tu, w Biernatach szkołę, a teraz stoi zarosnięta chaszczami. Chcieliśmy ją odnowić w stylu szlacheckiego dworku, zrobić tam świetlicę, żeby

było gdzie się spotykać, może małe muzeum. Aby dostać unijne pieniądze musieliśmy założyć stowarzyszenie. Nie udało się z pierwszym projektem, ale tak męczyliśmy burmistrza, że skoro nie robimy dworku, to musi nam cokolwiek dofinansować i się dorzucił połowę do placu zabaw i boiska. Na początku było ciężko. Ludzie byli przeciwni, mówili, żeby przeznaczyć te pieniądze na ważniejsze cele. Ale przekonali się, że to jest potrzebne. Gdy wycinaliśmy pierwsze krzaki w czynie społecznym, to nas było kilkoro i ja baba ciągałam drzewo, bo nie było wielu facetów. A teraz to ludzie sami o to dbają. Kiedyś jak robiłam porządki, przyjechał taki pan i mówi „pani Madziu, a po co pani to robi?” ja mówię, „bo lubię”. Chyba mu się głupio zrobiło, bo później patrzę, jest z wnuczkami, wziął wiadro, rękawiczki i drze osty przy płocie. Myślę sobie, boże, jak cudownie!

Organizują się przez internet. – Ktoś wrzuca pomysły i działamy. Jak robimy ognisko to każdy przynosi w koszyczku kiełbasę, coca-colę, czasem coś mocniejszego i jest fajnie, coś się dzieje. Chłopaki grają tutaj co niedziela w ręczną, dzieciaki siedzą cały tydzień na placu zabaw, ludzie przyjeżdżają rowerami. Planujemy jeszcze zrobić altanę zadaszoną z grillem, żeby się schować przed deszczem. Cały czas będziemy walczyć o tę szkołę. Moi znajomi się śmieją, że gdzie diabeł nie może tam Magdę posłać. Może tak jest, ale co ja na to poradzę. To życie uczy hardości serca, bo pokorny zawsze obrywa dwa razy. Nie można

być takim do końca pokornym. Chyba, że w wierze, to wtedy tak. Uważam, że trzeba się integrować, bo teraz to każdy tak się zamyka w swoim domu. Każdy ma komputer, fejsbuka, kiedyś było inaczej, ludzie się częściej spotykali. A człowiek to zwierzę stadne, żyje dla innych ludzi. Ja na przykład, jakby mnie zamknęli w więzieniu tobym zwariowała. Ja muszę gadać, zresztą pani widzi.

Biernackiej leży na sercu nie tylko integracja z ludźmi, ale również z przyrodą. – A jak wam się żyje w tym smogu w Krakowie? Ja od lat walczę z paleniem śmieci w piecu. Przecież cały ten plastik pani potem w rzod-kiewce siedzi. Już od dawna segreguję śmieci, moi synowie są wyszkoleni, mają w piwnicy cztery worki, wiedzą co do czego wrzucić. Opieprzałabym rękę dotąd – pokazuje na łokieć – za wywalanie śmieci po lasach. I ta Bia-łowieża! Nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las. Ale to jest kwestia ekonomiczna. Kornik? Pierdzielenie kotka za pomocą młotka. Była ptasia grypa, później afrykański pomór świń, teraz kornik. Dla mnie to jest tylko polityka, człowiek się w tym w ogóle nie liczy. A żubry to już w ogóle.

Lokalnej aktywistce niewiele potrzeba do szczęścia.

– No ale niech mi pani powie, czy to trzeba mi siedzieć na skórzanych fotelach? Dupa tam wie, czy to skórzane? W życiu najważniejsza jest miłość i zdrowie. I szczerłość! Choć ja to czasem zbyt dobitnie mówię i wielu mnie za to nie lubi. Ale

ja nie jestem sernik, żeby mnie wszyscy lubili.

* * *

Sernikiem nie jest również obecny burmistrz Łosic Mariusz Kucewicz, który, jak każdy u władzy, ma wierne grono swoich hejterów. Ale i tak w tajemniczy sposób udaje mu się budzić sympatię u większości mieszkańców, niezależnie od ich poglądów. Nie sposób się do niego dodzwonić. Lepiej zagaić na Facebooku. Odpowie. Tam też można mu pokadzić albo nawrzucać.

– Ale dlaczego ta szalupa–wrak jest w ukraińskich kolorach na POLSKIEJ ZIEMI? – pytam słowami zawiadzonego internauty.

– To nie są kolory Ukrainy tylko Ustki, w której łódź powstała – tłumaczy, choć prawdopodobnie słyszy to pytanie po raz setny. Wszystko zaczęło się od jeziora.

– Najpierw zmodernizowaliśmy zalew. Był pomysł na ten skwer od ulicy, żeby wrzucić jakiś cukierek, który by przykuwał oczy. Mamy tu nad Bugiem niedaleko Szwajcarię Podlaską, rezerwat krajobrazowy, gdzie stoiczołg, T-34, ten, który był Rudym 102 w filmie. No i on stoi sobie w lesie na początku tej Szwajcarii. Dzieci pewnie krzyczą w aucie „tatoczołg!” i wiele aut tam staje. Tak mi zaświtało w głowie, żeby tu coś

takiego dać, że jak ktoś by jechał, to dzieci by krzyczyły „tato, łódź!”. Pomyślałem: czołg już mamy, armatę też, w Mordach, a łódź byłaby czymś wyjątkowym.

Jak z nieba spadł program Lech Starter, który mógł to sfinansować. Był tylko jeden problem. Producent alkoholu nie może zafundować niczego dla dzieci, więc pomysł postawienia łodzi-placu zabaw odpadł. Drewniany, wikiński kuter, który też był brany pod uwagę, został sprzedany komu innemu w czasie trwania konkursu. Armia burmistrza ruszyła, więc na stocznie w poszukiwaniu nowego cukierka. I znalazła.

– Jest cała z aluminium. Sondowała Bałtyk, były dwie takie łodzie, tylko jedna przetrwała do dziś. Ł-3 i Ł-4 się nazywały, to do Łosic też jakoś pasuje, no: łódź z historią. Z archiwum marynarki wojennej w Gdyni chcemy wydobyć rozkaz, bo w wojsku łódź, tak jak żołnierz, ma rozkaz wszczęcia służby. Jest rozkaz wodowania. Jeszcze żyje człowiek, który pływał na tej łodzi. Planujemy nadać jej oficjalnie imię. Koledzy chcieli tam, dla żartu, nocą, nakleić napis z moją ksywą (ORP Kućman) na taśmie magnetycznej, ale nie wiedzieli, że to nie stal tylko aluminium i się nie trzyma.

Kiedy bałtycka łódź stanęła już spokojnie w sercu miasta, spowodowała sztorm w sieci.

– Na początku hejt był straszny. Moim zdaniem to są ludzie, którzy nie chcą nic wnieść dla społeczności, a tylko wszystko krytykują. To łatwe. Ale nie

nastawiam się wrogo. Pokusiłem się kiedyś hasztagiem, żeby zobaczyć na Facebooku, kto komentował Łódź. Bardzo wiele osób, nawet tych z początku przeciwnych, miało na swoich profilach zdjęcia z łódką w tle. Chwalili się nią! Tam jest jeszcze kotwica rzucona, ona też ma swoją historię, bo jest z barki, która pływała po Wiśle w dwudziestolecu międzywojennym. Kupiliśmy ją od człowieka, którego ojciec na niej pływał. Mieliśmy też pomysł na balon na linie, z logiem Łosic, żeby przez wakacje sobie polatał.

– A taki balon dla turystów, żeby z góry popatrzyli na miasto?

– O, może faktycznie, to jest jakiś pomysł do zrealizowania – bezbłędnie podchwytuje i zapisuje w zeszycie.

Biurko burmistrza żyje własnym życiem. Bywa, że i sam burmistrz nie może się w nim odnaleźć. – Zgadza się z Einsteinem, który mówił: jeżeli bałagan na biurku świadczy o bałaganie w głowie, to o czym świadczy puste biurko? – w głowie Mariusza Kucewicza, w istocie, wiele się dzieje. Nieustannie rozmyśla, jak przyciągnąć do miasta turystów. Kiedy w 2012 r. dwóch łosiczan wbiegło na stołeczny stadion i zaczęło pływać po murawie Łosice miały swoje 5 minut.

– Mogliśmy to jakoś wykorzystać do promocji. Był pomysł, żeby rondo nosiło nazwę „Bohaterów Basenu Naro-dowego”. To by pokazało dystans łosiczan do siebie, byłoby ciekawe. No, ale rondo dostało imię

Jana Pawła II... Myślę, że jeszcze dorośniemy do tego, żeby to jakoś upamiętnić.

Mariusz Kucewicz w wolnych chwilach zamienia się w wojownika i strzela z łuku.

– A Pani czym się zajmuje? O, grafika, miałem tutaj taką panią grafik, ale przerzuciła się na ikony.

* * *

Ikony wzięły Małgorzatę Waszkiewicz znieńacka, kiedy miała 31 lat. Najpierw szukała spełnienia w rozmaitych dołach w ziemi (nie tylko polskiej) pełniąc obowiązki archeologa nadzorującego budowy. Na studiach zafascynowała się komputerem. Jednym i jedynym wówczas egzemplarzem, jaki stał na piętrze budynku jej uczelni („– Każdy się patrzył, co to jest”). Poznała Photoshopa zanim dowiedziała się o istnieniu Worda. Ale nie wypadało być grafikiem po archeologii („– Jak to brzmiało!”) więc doszkołała się jako informatyk. W początkach kariery zawodowej dawała upust swojej kreatywności w zakładzie kamieniarskim, gdzie rozpisywała nagrobki. Ale to nie było to. Stanowisko paleolityczne w Bawarii, praca w redakcji Gazety Łosickiej oraz w starostwie powiatowym w dziale promocji to też nie było to.

– Czułam, jak mi wszystko przepływa przez palce. Całe życie robię takie nic. I tak się przyplątała

ta szkoła ikonograficzna. Szukałam zespołu na festyn, wpisałam „zespół folkowy tani” i drugi link był do artykułu o szkole w Bielsku Podlaskim. Zadzwoiłam, zapytałam, czy przyjmą katoliczkę, powiedzieli, że jak zdam egzaminy to tak. No to pojechałam i zdałam. To była najmądrzejsza decyzja w moim życiu.

Zaraz po szkole otworzyła pracownię i zaczęła wyrabiać sobie markę. Dziś zbiera zamówienia na freski w różnych świątyniach na 2020 rok, bo 2019 już ma pełny. Na ikonę czeka się krócej, mniej więcej pół roku.

– Dzisiaj na przykład dostałam zamówienie z parafii w Kaliningradzie na ikonę nowych świętych greckokatolickich. Fajne wyzwanie, bo takiej ikony jeszcze nie ma w kanonie ikonograficznym. Są pojedyncze ikony tych świętych, a ja mam ich skumulować na jednej. To jest wielkie wyzwanie napisać ikonę od początku bez konkretnego wzoru.

To, że obrazy Małgorzaty podróżują po świecie nie jest aż tak niezwykle, jak to, że robią to też jej freski. Te zawędrowały nawet na Wybrzeże Kości Słoniowej, do polskiej misji klaretynów w Soubré.

– Dwa miesiące tam byłam. Z siostrą pojechałam, bez niej to bym się nie wyrobiła w tym czasie. Ona mi malowała pierwsze warstwy, które zajmują dużo czasu, a ja tylko wykańczałam.

Napisała już setki ikon. Największe mają prawie dwa metry wysokości. Najmniejszą zrobiła

na muszelce. Zazwyczaj używa jednak drewna. – To musi być drzewo liściaste, żeby nie puszczało żywicy, najlepsza jest w naszych warunkach lipa. Drewno jest odpowiednio suszone, obrabiane, ja tego nie robię, tylko stolarze. Mój ojciec i szwagier.

Niebiański Mistrz, żarliwy Architekcie wszelkiego stworzenia, zapal światło dla wzroku Twego sługi, strzeż jego serce i prowadź jego rękę, by mógł godnie i w sposób doskonały stworzyć Twój Wizerunek na chwałę i piękno Twego Świętego Kościoła.

– Modlitwa to nie zwyczaj, to po prostu część życia ikonografa. Rano się modlę za wszystkich, dla których piszę ikony. Tak mi się wydaje, że to musi być już w człowieku, razem, wszystko. To jest po prostu ikonograf.

Małgorzata Waszkiewicz spędza w Łosicach średnio połowę roku, przez resztę czasu jeździ po świecie i ozdabia go świętymi. – Nie wiem, czy bym chciała mieszkać w Łosicach gdybym tu pracowała cały czas. Chyba bym się zanudziła, ale ja się wszędzie nudzę. Najbardziej lubię tu swoich przyjaciół. Są tacy dostępni, bo tu nie ma wielkich zajęć, którym ludzie się mogą poświęcać, więc mają czas dla innych. To, czego najbardziej nie lubię to fakt, że w tym mieście nie ma życia wieczorem. Myślę, że to kwestia mentalności, bo teraz już jest gdzie wyjść i można to robić. Mam nawet swoje ulubione miejsce, tam jak człowiek pije to

w pewnym momencie w lokalu mu się zaczyna podobać. To już wtedy wiadomo, że się za dużo wypilo i należy wyjść. Łódka? Zachwycaliśmy się nią wczoraj ze znajomymi. Podoba mi się to, że ma takie kiczowate kolory i jest podświetlona, bo przez to jeszcze bardziej pasuje do zalewu. Ona jest urocza. I to jedyne, właściwe określenie tej łódki. Ale ja lubię kicz. Z moim kolegą zbieramy i spisujemy łosickie legendy. Stwierdziliśmy, że tej łódce trzeba jakiegoś ducha wymyślić. Potrzebny mi jest tutaj duch.